



Z bibliotecznej półki

Przemysław Mastalerz

*Łatwy, ale ważny problem strumyków i małych rzeczułek*¹

Wszyscy wiedzą, że mamy w Polsce niedobór wody, szczególnie dotkliwy w latach o mniejszej ilości opadów. Z własnej obserwacji wiem, że w ciągu kilkunastu lat poziom wody w niektórych jeziorach leżących między Gnieznem i Koninem obniżył się o około jeden metr i zupełnie wyschły strumienie, jeszcze tak niedawno łączące te jeziora. Wszyscy jednak zachowują milczenie w sprawie działań urzędów do spraw melioracji tak jakby nikt nie wiedział, że urzędy te przez swoje nieodpowiedzialne działania pogłębiają deficyt wody, przyspieszają pustynnienie kraju i przyczyniają się do zubożenia bioróżnorodności. A przecież zachowanie naturalnej różnorodności dzikich roślin i zwierząt jest wpisane w programy działania państwowych organizacji, powołanych w celu ochrony przyrody.

Szkodliwe skutki urzędowych działań w sprawie małych rzek i strumieni można zawrzeć w trzech punktach:

1. Regulacja dziko płynących wód, czyli ich przekształcenie w proste rowy o brzegach wyłożonych faszyną, aby czasem jakiś strumyczek nie zechciał podmywać swoich brzegów, osusza kraj bo przyspiesza odpływanie wody.
2. Regulacja małych rzek i strumieni, zwłaszcza na nizinnych terenach, szpeci krajobraz i zabija około 80 procent owadów i małych zwierząt, jakim naturalnie płynące strumienie dostarczały pożywienia i schronienia.
3. Okresowe oczyszczanie uregulowanych cieków wodnych z wodorostów i innej roślinności przyspiesza odpływ wody i uniemożliwia spontaniczny powrót uregulowanych rzeczek i strumieni do stanu naturalnego.

Pomijamy tu zagadnienie dużych rzek, bo zbyt daleko wykracza ono poza problemy ochrony środowiska. A poza tym drobne regulacje małych cieków wodnych bardziej wpływają na środowisko bo dotyczą znacznie większych obszarów niż sztuczne jeziora, utworzone przez zapory wodne na dużych rzekach.

Obecnie w zachodniej i środkowej Polsce i na zachodzie Europy nie można już przeciwdziałać skutkom nowych regulacji, bo uregulowano już wszystko co się dało i na nizinach nie ma już ani jednego dziko płynącego strumienia. Wystarczy z okna pociągu popatrzeć na te pola i łąki, poprzecinane prostymi rowami, wzdłuż których nie ma nawet krzaków i drzew, normalnie otaczających każ-

¹ Fragment książki P. Mastalerza *Ekologiczne kłamstwa ekowojoowników. Rzecz o szkodliwości kłamliwej propagandy ekologicznej*. Wydawnictwo Chemiczne, Wrocław 2000.

dą wodę. Teraz już nawet nie zastanawiamy się nad tym, jak bardzo regulacje zubożyły nasz krajobraz i w żadnej szkole nie uczy się dzieci, jak dramatycznie regulacje ograniczyły liczbę i różnorodność roślin i zwierząt.

We wschodniej Polsce zostało jeszcze trochę dziko płynących wód i powinny one zostać otoczone czujną opieką organizacji ekologicznych. Opieka musi być niezwykle czujna, bo melioranci nie śpią i czyhają na każdą swobodnie płynącą wodę, nawet najmniejszą, żeby jej założyć swoje faszynowe okowy. Nieświadomi co czynią, melioranci uzasadniają nawet swoje działania względami ekonomicznymi, że niby dążą do powiększenia plonów przez „uregulowanie stosunków wodnych”. Jest to uzasadnienie pochodzące z dawnych lat, kiedy z powodu niskich plonów każdy płachetek ziemi czy łąki był cenny i potrzebny dla wyżywienia głodnej ludności. Obecnie jednak nie ma już w Europie głodu ziemi a jest nadmiar produktów rolnych, z którymi nie wiadomo co robić. Trzeba żeby świadomość nowej sytuacji żywnościowej dotarła wreszcie do szkół rolniczych, gdzie kształci się specjalistów od „regulacji stosunków wodnych”. Gdy będą lepiej wykształceni, to zmniejszy się szkodliwość ich działań.

Najważniejszy jest punkt trzeci, czyli okresowe oczyszczanie uregulowanych rzeczek i strumieni. Jest to w tej chwili najbardziej rzucająca się w oczy i najbardziej szkodliwa działalność meliorantów. Od wielu już lat obserwuję ich działania i ciągle nie mogę wyjść z podziwu nad bezmiarem ludzkiej głupoty. Oto trzy przykłady: Wzdłuż południowych granic Wrocławia płynie mała rzeczka Ślęza. Jest to smutna, brudna rzeczka, na całej długości od źródeł do ujścia w Odrze płynąca przez gęsto zaludnione tereny rolnicze. Ślęza jest uregulowana od niepamiętnych czasów i na każdym niemal odcinku jest żałosnym pomnikiem zniszczeń, jakie człowiek wyrządził w przyrodzie.

Każda rzeczka, dopóki płynie, stara się powrócić do pierwotnego stanu przez podmywanie brzegów, tworzenie zakoli i zarastanie. Na odcinku między Oporowem i Kleciną przez kilka lat obserwowałem, jak Ślęza skwapliwie wykorzystywała okres nieuwagi meliorantów i szybko wracała do życia. Na krótkim odcinku w obrębie miasta zamieszkało nawet kilkanaście rodzin kaczek i udało im się wychować dorodne potomstwo. Niestety, wnet przyszli melioranci i po nich już nie ma kaczek, pozostał smutny, goły rów z brudną wodą, ponownie wyfaszynowany. Argumentem meliorantów jest oczywiście usuwanie przeszkód utrudniających spływanie wód powodziowych. Jest to jednak prymitywnie głupi argument, bo przecież niska roślinność w obrębie obwałowań nie ma najmniejszego znaczenia, gdy poziom wody wzrasta dziesięciokrotnie albo i więcej razy w czasie powodzi.

Argumentu powodziowego nie można zastosować do małego strumyczka, który wypływa z jeziora Orchowskiego leżącego między Koninem i Gnieznem i wpada do jeziora Suszewskiego, położonego kilka kilometrów dalej. Strumyk płynie między rozległymi polami, które wznoszą się łagodnie po obu stronach i żaden przybór wody nie może im zaszkodzić, a zresztą nigdy tam nie ma żadnego przyboru. Ten strumyk bez nazwy jest oczywiście wyprostowanym rowem, ale ostatnio był dość żywy, bo już dawno nie odwiedzali go melioranci.

Przyszli jednak latem 1999 i już nie ma żywego strumienia, jest smutny, pusty rów.

Jeden z najbardziej dramatycznych przykładów bezmyślnej głupoty urzędników odpowiedzialnych za gospodarkę wodną oglądałem latem 1990 w okolicach Wolsztyna. Był to rok wielkiej suszy z upalnym latem bez deszczu. I wtedy właśnie, gdy wysychały wszystkie wody w tamtejszej piaszczystej okolicy, melioranci napadli malutką rzeczkę, płynącą przez lasek między dwoma blisko siebie leżącymi jeziorami i nie bacząc na skwar starannie oczyścili ją z roślinności. Ale czemu miało służyć ułatwienie spływu wody w krótkiej rzeczułce płynącej przez las?

Każdy najbardziej nawet uregulowany strumyk powróci do życia gdy mu się na to pozwoli, ale naturalny powrót musi trwać dziesiątki lat. Jeżeli chcemy jeszcze za naszego życia upiększyć krajobraz Polski i jeżeli chcemy, by nasz kraj stał się bardziej przyjazny dla dzikiej przyrody, to musimy przyspieszyć proces regeneracji zabitych strumieni, które teraz są jedynie rowami odwadniającymi nasze łąki, pola i lasy. Widzę tu ogromne pole do działania dla mądrych i cierpliwych organizacji ekologicznych. Trzeba jednak zdać sobie sprawę z trudności, jakich należy oczekiwać.

Ożywienie uregulowanych małych rzeczek napotka opory urzędników i będzie wymagało poważnych nakładów finansowych. O wiele łatwiejsze, ale bynajmniej nie bardzo łatwe, będzie przywrócenie małych strumieni do stanu pierwotnej dzikości. I tu nie obejdziesz się bez nakładów finansowych, bo trzeba będzie wykupić od rolników skrawki łąk i pól przylegających do strumieni. Nie trzeba na to dużych pieniędzy, bo każdy rolnik chętnie sprzeda swoją ziemię za równowartość stuletniego plonu, jakiego może z tej ziemi oczekiwać. Nie chodzi tu bynajmniej o duże sumy, bo niewielka jest wartość trawy zbieranej ze skrawka łąki, a większość strumieni płynie przez łąki a nie przez pola.

Najprostszym sposobem ożywienia strumieni byłoby przegradzanie uregulowanych rowów niskimi grobelkami, spiętrzającymi wodę do wysokości około jednego metra. Nie wolno jednak w tych grobelkach umieszczać ruchomych zastawek, bo chodzi o to, żeby powstały stawki o niezmiennym poziomie wody. To wystarczy, żeby wróciło tam życie, żeby zagnieżdżyło się ptactwo wodne i niech sobie te stawki zarastają jak chcą. Powrócą też ryby dla łowieckich uciech dzieci z okolicznych wsi a wzdłuż tych strumieni niech sobie rosną drzewa jakie tam same przywędrują. Wtedy mogą nawet powrócić bobry, które obecnie podobno zaczynają już szkodzić rolnictwu w Polsce, bo ich wodne konstrukcje powodują zalewanie pól. Jest smutnym paradoksem, że pojawiają się narzekania na bobry, chociaż na tysiąc ludzi w Polsce przypada mniej niż jeden bóbr.

Proponując te grobelki już słyszę protesty oburzonych urzędników z gminnych i powiatowych urzędów, którzy nie ścierpła myśli, żeby jacyś tam prości obywatele samowolnie ingerowali w „stosunki wodne”. Chyba, że odnośne ministerstwo wyda odpowiednie zarządzenia, ale tego chyba prędko nie doczekamy się.